ARTYKUŁY

DZIENNIKARSKIE

Kornela Ujejskiego.

Z łez, z ognia, z żelaza.

I. O scenie polskiej we Lwowie.

LWÓW.

W KOMISIE KSIĘGARNI KAROLA WILDA.

Z drukarni Zakładu Ossolińskich.

1858.

ARTYKUŁY
DZIENNIKARSKIE.

W drukarni Zakładu narodowego imienia Ossolińskich.

ARTYKUŁY
DZIENNIKARSKIE

Kornela Ujejskiego.

Z łez, z ognia, z żelaza.

I. O scenie polskiej we Lwowie.

LWÓW.

W KOMISIE KSIĘGARNI KAROLA WILDA.

1858.

I.

O scenie polskiej we Lwowie.

(Przedruk z Dziennika literackiego.)

I.

Rok temu właśnie, kiedy *Prologiem* przywitaliśmy nowo tworzącą się scenę polską; zdaje nam się więc, że przed innymi mamy prawo kilka słów o niej pomówić. Scena polska we Lwowie wzrasta, podnosi się, rozkwita; winna ona swój byt gorącym życzeniom kraju, życzliwym chęciom jego naczelnika — a zaś swój wzrost i niespodziewany postęp gorliwej pracy jej dyrektorów, talentowi i kapłańskiemu poświęceniu się jej młodych uczniów, zamiłowaniu i opiece poczciwej naszej publiczności, a może trochę, jeśli nam wolno sobie pochlebiać, i błogosławieństwu poety.

Zaledwie rozeszła się wieść, że scena polska we Lwowie przestaje być budą jarmarczną, mnóstwo młodzieży, czującej w sobie zapał i poświęcenie, cisnęło się do nowej dyrekcji z prośbą o chrzest arty-

sty. Gnieciony duch wyrywał się z pod stęplu, parł się na świeże powietrze — chciał odetchnąć!

Stosując się do swoich sił, przyjęła dyrekcja z tłumu zgromadzonych tych tylko, co stali w pierwszym szeregu, tych co przyszli wcześniej. I kogoż przyjęła? Przyjęła *ubogich*, tych wiecznie ubogich, którymi jednak zasila się od wieków skarbiec każdego narodu. I kogóż przyjęła?... Oto kilka dziewcząątek, które, gdyby nie ten wypadek, ślęczałyby po dziś dzień z igłą w ręku przy lampie zarobnicy — oto kilku młodzieńców, co łamali się w ubóstwie z wewnętrznym ogniem, co ich pożerał, a zwiędliby, zmarnieli, gdyby nie znaleźli sposobności wyłonić go ze siebie.

Przed rokiem widzieliśmy chwiejących, niepewnych uczniów — dzisiaj widzimy już artystów — za lat kilka może zobaczymy mistrzów.

Czy czujecie szanowni czytelnicy, tak głęboko jak my, zaszczyt należenia do narodu, w którym na pierwszy krzyk wstają męże, na pierwszy jęk wstają anioły? Bogata ta matka, co ma takie dzieci—bogata, uboga razem; bo oto arcydzieła Władysława Oleszczyńskiego skazane są na przedwczesne zniszczenie, kute jedynie z kamienia; myśli godne nieśmiertelności, skazane są na śmierć, z braku nieśmiertelnego marmuru. Jesteśmy za ubodzy na zakupienie dla naszych mistrzów kilku brył bia-

łego głazu, tego cennego głazu, co rumieni się gdzie indziej pod stopami giełdowych lichwiarzy.*) Ale mniejsza o to — my jedni z dusz ludzkich stawiamy świątynie!

Przed kilkoma dniami byliśmy świadkami przedstawienia doskonałego dramatu: *Ubodzy w Paryżu*. Dramat ten bolesny, przerażający, w niektórych scenach na pozór nienaturalny, a w istocie, niestety! prawdziwy, dramat ten podał nam miarę do ocenienia wartości naszych młodych artystów— o nich tylko tą razą mówić zamierzając, wstrzymujemy się z osądzeniem starszych, dawniejszych; bo zresztą byłoby to starą, powtarzaną nowiną: że pp. Smochowski i Nowakowski są mistrzami pierwszego rzędu, a według życzeń publiczności za rzadko jej się pokazującymi, że pani Aszpergerowa mogłaby współzawodniczyć z pierwszemi artystkami Paryża, zkąd prócz podniesienia swego ogromnego talentu dramatycznego, wywiezła świeży nabytek dla naszej sceny: wytworną elegancję salonowych ról w niższej komedji; że pani Majeranowska stawszy się ulubienicą publi-

*) Zdaje się, że nawet na gips nam nie wystarcza. Posążek gipsowy Adama Mickiewicza, roboty Święckiego, od dawna czekał na kupca. Pewne kółko towarzyskie, składające się z najbogatszych ludzi kraju nie było w możności kupić go dla swojej czytelni, pomimo nalegań jednego szanownego członka. Kilkadziesiąt *złotów* zapłaciłoby ten piękny utwor artystyczny. Jak słyszeliśmy kupił go jakiś ubogi dzierżawca.

czności, powinna być stale zaangażowaną, koniecznie, koniecznie; że dyrekcja stosując się do życzeń publiczności, nigdy na tem stracić nie może i że nie potrzebnie straszy nas tak długo św. Witem, z któryrmby ten ulubiony słowik sceny lwowskiej miał dla nas zamilknąć; że cieszymy się niezmiernie, pozbywając trwogi, jakoby panna Targowska chciała nas opuścić; że pan Kaliciński kiedy chce, umie swój głos i ruchy hamować i natenczas ma chwile szczęśliwe i piękne; że pan Hennig jest doskonałym komikiem, co często z małej roli umie zrobić rzecz przedziwną; że pani Hubertowej i panny Rutkowskiej w właściwych ich rolach nikt nie zastąpi u nas, nakoniec że pp. Szturm i Hubert, również jak panna Zalewska i poczciwy nasz Krupicki są potrzebni.

Wracamy do założenia. Przedewszystkiem wynieść musimy pana Maleszewskiego. W *Ubogich Paryża* wydał on się nam doskonałym artystą. Grał on spokojnie, poważnie, był panem swojej roli. Od dawna uważaliśmy, iż p. Maleszewski pragnie jak najgłębiej przejmować się powierzoną rolą; ta nieustanna staranność, ten zbytek gorliwości wyradzały się nieraz u niego w przesadę. Przesada jest często dowodem bujności, bogactwa, siły. Przesadność zawsze jest wyższą od niedosadności. Dobrze kierowana staje się zapałem, entuzjazmem — hamowana staje się potęgą.

Wiemy iż Nowakowskiego i Dawisona do niedawna jeszcze pomawiano o przesadę. Zbytek ognia i młodości ducha nadaje nieraz ciału formy nieestetyczne, ale kto *zawłada* w sobie temi dwoma potęgami, ten uformuje się w żyjący posąg grecki. Takim posągiem najwyższej doskonałości była niedawno zmarła Raszel.

Pan Maleszewski wyjdzie niezawodnie na wielkiego artystę. Ma on ogromną giętkość talentu, obszerną skalę głosu, zadziwiającą ruchliwość twarzy; umie przekształcać się do niepoznania. W *Szkalmierzankach* jako bakałarz stał się prawdziwą dla nas zagadką; musieliśmy zaglądnąć do afiszu, chcąc się przekonać o tożsamości jego osoby; ręce jego wyciągnęły się niżej kolan, głos podniósł się do jakiegoś dziwnego, koguciego dyszkantu i umiał w równej mierze trzymać go aż do końca; przytem cała gra jego była wyborną. Pan Maleszewski nigdy nie wypadnie z swej roli, gra ciągle, choć milczący; jest to dowodem głębokiego przejęcia się. Prosimy więc tylko p. Maleszewskiego, aby zawsze starał się być tak spokojnym, jakim był w roli *Planterosa*. Spokój nadaje pewność, potęguje siłę. Artysta powinien władać swoim talentem jak dobry jeździec koniem, koń niech czuje że ma pana nad sobą. Śmiały jeździec może wypuszczać konia, bo wie że go wstrzyma i osa-

dzi na miejscu, kiedy chce, kiedy potrzeba. Zwrócimy jeszcze uwagę p. Maleszewskiego na jeden drobny usterk. P. Maleszewski ma oczy bystre, błyszczące, wymowne, nadużywa on nieraz tego daru, zanadto niemi zawraca, zanadto niemi błyszczy — Mogło to być dawniej rzeczą przydatną dla lepszego oświecenia sali, ale teraz już gaz mamy. W rolach n. p. ludzi chytrych, przebiegłych, w rolach oszustów i łotrów, jednem słowem, pan Maleszewski za nadto uwidomia się twarzą i oczami. Zbrodniarz w obec ludzi jest zwykle hypokrytą; nie wydaje on swojej złośliwości potężnem ócz zawracaniem — czyni to dopiero wtenczas, kiedy go wieszają. Prawdziwy artysta nie powinien grać jedynie dla publiczności, on powinien grać także i dla współdziałających na scenie. Tyle o p. Maleszewskim. Jeśli rozciągnęliśmy się nad jego grą obszerniej, niech to da mu miarę, jak go wysoce cenimy.

Pan Wilkoszewski jest prawie zawsze bardzo miłem zjawieniem na scenie. Nie ma on elastyczności p. Maleszewskiego, ale w rolach trzpiotów, fanfaronów, zfrancuziałych lub zangliczonych elegantów jest niezrównanym. W ogóle role salonowe najlepiej mu przypadają do twarzy — jest on wtenczas w swoim właściwym żywiole — tylko na paryskich scenach podziwialiśmy podobną swobodę i elegancję. Te dwa

przymioty zawadzają p. Wilkoszewskiemu w rolach poważniejszych, dramatyczniejszych i wątpimy czy w takich rolach będzie mógł kiedyś się odznaczyć. P. Wilkoszewskiemu nie braknie na ogniu artystyczym, ale ten ogień nie nurtuje w nim głęboko. Jest on na kształt ognika o pięknym błękitnym płomieniu — lotny, chwiejący, gazowy, brakuje mu na grozie. Głos, układ, postawa p. Wilkoszewskiego również są miękkie, elegijne, sielankowe. Radzimy mu, aby nie wychodził z salonu; nogi jego przyzwyczajone do dywanu, nie zniosą ostrych ścieżek dramatu — dajcie mu aksamit na wezgłowie, nie skałę. Znakomity to jednak artysta.

Pan Woźniakowski nader zwolna pozbywa się wrodzonej lękliwości. Przy widocznym jego talencie jest to przymiot nie mały. Są orły, co długo noszą gołębie pierze. Dęby najpóźniej rozkwitają, ale i najpóźniej utracają liście. Życzymy sobie, abyśmy tę parę sentencji położyć mogli na motto, jeśli nam kiedyś nadarzy się sposobność mówić obszerniej o p. Woźniakowskim, dzisiaj wspomnimy tylko, iż ten młody artysta w ciągu jednego roku niezwykłe w śpiewie uczynił postępy, i równe co się tyczy gry rokuje nadzieje.

II.

Przychodzimy do ocenienia naszych młodych artystek.

Dziwną rozmaitością objawia się duch ludzki, chociaż jednego przeznaczenia. Jak pan Woźniakowski pomimo nie małej artystycznej przyszłości w dramacie, jest dotąd płochliwym, nieswobodnym na scenie, i dopiero wtenczas wylania iskrę swego talentu, kiedy go zapał wprowadzi w chwilową śmiałość, albo kiedy wykrzesza ją z krakowskich swoich podkówek, tak znowu panna Kaczkowska przy pierwszem już wystąpieniu uczuła się od razu na scenie jakby w swoim rodzinnym domu. Młode to dziewczątko, młode i ubogie, jak panna Raszel, nim ją genjusz pchnął na drogę laurów, zbytku, o! i niemoralności — sprawia zawsze na nas głębokie wrażenie. Nic milszego nad dziecięcą nieświadomość samej siebie, z jaką p. Kaczkowska objawia nam swój wysoki talent drama-

tyczny. Ile razy wychodziliśmy w Paryżu z gmachu komedji francuskiej, oczarowani, uniesieni grą nieśmiertelnej Racheli, zawsze nam się zdawało, że ją widzimy dzieckiem, kiedy niegdyś bose, zziębnięte, biegło bezmyślnie po przed ten gmach przyszłej swojej sławy i królowania, i nagle jakby uderzone magnetycznym prądem stawało i tonęło w bezprzytomnej zadumie. Z takiego snu magnetycznego nie wyszła jeszcze dotąd p. Kaczkowska. Widzieliśmy ją w roli dwunastoletniej wiejskiej dziewczynki; widzieliśmy ją w roli kochanki, co dojrzała już przy ogniu rozwiniętego uczucia, co cierpi, płacze, łamie się z swym losem i namiętnością — i wszędzie, zawsze u niej ta sama prostota, zawsze naturalność przedziwna, zawsze pewność tego somnambulisty, gdy po dachach chodzi. Taką prostotę posiada tylko wyższa zdolność. P. Kaczkowska wie wszystko, wszystko zgaduje; a jednak sama nic nie wie o tem. Ona jest w ciągłem jasnowidzeniu. Boimy się zbudzić, spłoszyć ją oklaskiem. Do wszystkich innych artystów wołać możemy steoretypową radą: Uczcie się, pracujcie! — do niej jednej ledwie półgłosem szepnąć ośmielamy się: Jeśli możesz zostać tem, czem teraz jesteś, o! zbudź się!

Stawiamy w zakład nasze natchnienie poety, że nas przeczucie nie omyli, że do kilku lat p. Kaczkowska zabłyśnie wielką gwiazdą na scenie naro-

dowej. Prosimy dyrekcję, aby zwróciła uwagę na naszą przepowiednię, aby ją uwzględniła; stosując się do niej, niech puszcza p. Kaczkowskę na obszerniejsze pola, niech ją próbuje w ważniejszych rolach w dramacie. Pannie Kaczkowskiej zaś damy tylko jedną radę. Jak mówiliśmy p. Kaczkowska jest genjalnem dzieckiem natury artystycznej; idzie ona nieświadomie za jej popędem. W boleśnych scenach panna Kaczkowska za często twarz zakrywa rękoma. Wiemy, iż źródła tego ruchu szukać należy w uczuciu estetycznem. Zasłaniamy twarz ze wstydliwości, bo domyślamy się, że ból ją zanadto szpetnie wykrzywia. Otoż jednemu tylko artyście dramatycznemu nie wolno zawsze być posłusznym temu pchnięciu ludzkiej natury. Tylko w nader rzadkich chwilach ogromnej, prometeuszowskiej boleści niech mu wolno będzie twarz zakrywać; ogólnie zaś niech stara się torturowanej twarzy nadać wyraz piękna. W odkopanych marmurowych pamiątkach po boskiej Grecji, jedna tylko znajduje się postać z zasłoniętem licem: To Agamemnon, oddający córkę pod nóż ofiarniczy. A kiedyśmy już raz wleźli w erudycję, pozwolimy sobie napomknąć jeszcze, iż Cezar obaczywszy mnóstwo sztyletów nad swoją głową, zakrył ją wprawdzie togą, ale oraz w tej samej chwili sfałdował ją i spu-

ścił aż po pięty, aby upaść pięknie i przyzwoicie. Dosłownie w Swetonjuszu.

Z żalem przychodzi nam opuszczać tak piękny temat, jakim jest przyszłość p. Kaczkowskiej. Chcielibyśmy ją umocnić, wesprzeć, chcielibyśmy ją pobłogosławić. Nie wiemy jak zacząć z pewnem drażliwem słowem. Wywalmy wrota i mówmy. Młodą jesteś i piękną dziewicą; zdradne są ścieżki kulisów, mają one sieci i połapki. O! wiedz o tem, lube dziecię, że natchnienie mieszka tylko w niesplamionej piersi — bądźże nam czystą jak dotąd i natchnioną... A toż kazanie, nie krytyka—powie nie jeden czytelnik. Przyznajemy się do kapłaństwa! Nam tylko wiadomo, dla czego odrywać się często teraz będziemy od drogich nam prac poetycznych. Dziennik jest nieraz trybuną, a nieraz kazalnicą. Więc waćpan jesteś obecnie kaznodzieją? A jużci — jak mówią Krakowiacy.

O pannie Wygrzywalskiej ledwie nie to samo powiedzieć nam wypada, co o p. Woźniakowskim; z tą jednak różnicą, że jak p. Woźniakowskiego głównie chcielibyśmy widzieć w dramacie, tak pannę Wygrzywalskę tylko w komedji i w wodwilu. P. Wygrzywalska nad spodziewanie wyrobiła swój głos podczas ferji podróżnej. Ma ona prócz tego niepośledni talent jako artystka sceniczna; brakuje jej jeszcze na-

swobodzie, którą nabywa z czasem każdy ostrzelany w boju.

Panna Safir podobnie jak p. Wilkoszewski posiada ruchliwość i wdzięk niezwyczajny. Role naiwne, po polsku prostoduszne, bardzo są dla niej stosowne. Młoda ta artystka równie jak p. Kaczkowska od razu zdobyła sobie na scenie pewność wyższego talentu. Dziwimy się dla czego ją dyrekcja nie przypuszcza do wodwilu, nie stara się kształcić ją w śpiewie. Panna Safir ma wrodzoną lekkość na wodwilistkę, a przecież wiemy iż każdy prawie głos da się wyrobić dla wodwilu.

Kończąc naszą krytykę, co się tyczy talentów młodszych naszych artystów, sami zastanawiamy się radzi nad jej entuzjazmem. Niechże nam go nikt nie wymawia. Ci co nas znają bliżej, wiedzą ile jesteśmy szczerzy i niepodlegli. Jednacy jesteśmy wszędzie i zawsze—pod wozem, czy na wozie. Oświadczamy, iż z osób przez nas pochwalonych nikogo osobiście nie znamy; raz tylko byliśmy za kulisami, a to w dzień wygłoszenia naszego epilogu. Ale niestety, na tym świecie każda róża ma ciernie. Za wszystkiem ciągnie się smoczy ogon. Ach! przyjdzie on, przyjdzie w następującym rozdziale!

III.

Rozpoczynając nasz zawód publicysty, chcielibyśmy rzucić zasłonę na wszystkie dotychczasowe zdrożności, gdziekolwiek one się w narodzie lub w jego przedstawicielach objawiały. Chociaż naszem berłem jest tylko pióro, pióro tylko, acz żelazne — chcielibyśmy najprzód ogłosić ogólną amnestję. Tem przykrzej dla nas, jeśli od razu natrafiamy na świeże błędy, albo karcić zmuszeni jesteśmy stare, niepoprawione. Bóg nam świadkiem, z jaką serdecznością i miłością przystępujemy do naszego nowego zawodu. Obecnie jak gołąb nie mamy ni kropli żółci w naszym kałamarzu; piszemy czerwonym atramentem, bo krwią z naszego serca. O! daj Boże, abyśmy nigdy nie potrzebowali przymieszywać onego gorzkiego jadu!

Szczęśliwi jesteśmy, iż tą razą zacząć możemy od uznania i pochwały. Dyrekcja sceny polskiej zasługuje na pierwsze i na drugie, a nawet znaczna część

pochwał, które rozdzieliliśmy między naszych młodych artystów, do niej się odnosić powinna. Jej to staraniem i niezmordowaną pracą stanęła i podniosła się scena nasza. Niektórzy z pochwalonych przez nas młodych artystów występowali już pod poprzedzającą dyrekcją — a byli koszlawi, jakby otumanieni duszącą atmosferą tego osławionego przedsiębiorstwa. Dopiero pod przewodnictwem ludzi zacnych, a mistrzów w swojej sztuce, znaleźli talent, zyskali na odwadze i pewności — objawili się samym sobie.

Uznajemy więc z uczuciem serdecznej podzięki zasługi nowej dyrekcji w kształceniu swoich adeptów; tem śmielej więc pozwolimy sobie wytknąć jej uchybienia, nader ważne dla nas.

Zaczniemy od zarzutu najważniejszego, bo tyczącego się moralności publicznej. Dyrekcja, która przy nowem otwarciu sceny przyjęła od poety i wygłosiła jako program obowiązujący, następujące słowa:

Niechaj tu *czysty* wchodzić się nie boi,
Niechaj nas matki nie winią...
Niechaj dziewice usta swoje milą,
A nigdy oczek nie chylą...

Dyrekcja taka ubliża i poecie i swoim zaciągniętym obowiązkom, jeżeli o tych programowych słowach zapomina, nie stosując się do nich. Poeta ten szczyci się tem, że go zwą narodowym; nie frymar-

czył on nigdy ani swojem imieniem, ani swojem natchnieniem; nikomu za szyld nie służy, natchnień swoich nie sprzedaje — słuszna więc, aby jego wyrazów nie lekceważono. Tymczasem dyrekcja zachowuje w swoim repertoarzu sztuki stęchłe, przegniłe; precz z lękliwą wstydliwością języka, gdzie chodzi o dobro powszechne — zachowuje sztuki śmierdzące, i traktuje nas niemi, jakby zdrowym pokarmem. Po co takie *Szkalmierzanki*, taka *Staroświecczyzna i postęp czasu* i t. d.? Czy to dla zastąpienia baletu warszawskiego?!...

Nikt dyrekcji nie przymusza do demoralizowania publiczności; jednak broń Boże abyśmy ją chcieli o taki zamiar posądzać. Mądrość historji powiedziała już od dawna, że świat do młodych należy. Otoż przekonujemy się, iż nawet w rzeczach drobniejszych ta mądrość nie myli się. Szanowna dyrekcja zachowała w pamięci jeszcze one czasy napoleońsko-poobozowe, kiedy cynizm żołnierski, sparowany z uczuciem narodowem, wróciwszy na rodzinną ziemię szukał stosownego pożywienia. Teatr więc podawał natenczas wąsatemu żołnierzowi kawał sucharu, omaszczonego tłustością, posypanego pieprzykiem patryotyzmu — i żołnierz to śmiał się, to płakał, i był zadowolnionym. Dzisiaj już nam ten chleb nie smakuje; z żalem powiedzieć musimy, iż przy niektórych

dowcipach w *Szkalmierzankach*, lękaliśmy się uśmiechnąć! Wymienione przez nas dwie sztuki, (a znajdzie się podobnych w repertoarzu dyrekcji więcej) należą do licznych przerobień ś. p. Kamieńskiego. Duch jego chociaż pełen zasługi na tej ziemi, płacze gdzieś widząc powtarzane »grzechy żywota«, które razem z ciałem odrzucił. Tym sposobem nie oddaje dyrekcja cześci popiołom swego dawnego mistrza. Niedawno wpadł nam przypadkiem do rąk pewien manuskrypt genjalnego, czcigodnego, zasłużonego rodaka, (grzech jego młodości) i przez cześć i miłość dla niego, nie czytając nawet tego manuskryptu, rzuciliśmy go w ogień. Zasłaniajcie nagość ojców swoich.

Niech nam szanowna dyrekcja wybaczy, iż tak gorąco podjęliśmy rzecz ogół obchodzącą, rzecz pospolitą. Podobnie jak ktoś o pannie Deotymie, możemy o sobie powiedzieć, że »coś z nas mówi.« Jesteśmy tylko instrumentem, na którym gra ręka tajemnicza.

Co się tyczy więc repertoarzu, wyłączywszy z niego raz na zawsze sztuki obrzydliwe, demoralizujące, życzyćby nam należało, aby stał się bogatszym. Wolimy wprawdzie tłómaczenia, niż wzmiankowane oryginalne oryginalności, wszakże zdaje nam się, że ogłosiwszy konkurs na sztuki dramatyczne, dyrekcja

przysporzyłaby sobie niemały zapas sztuk lepszych, bo swoich. Wiadomo nam iż szanowna dyrekcja chodzi już od dawna z tą myślą; jeśli nasze słowo może być u niej uwzględnionem, popieramy ją z całej siły.

Drugim zarzutem dla dyrekcji jest małe ocenienie talentów jej młodych uczniów, ich lekceważenie. Nie mówimy o grzeczności, bo wiemy że dyrekcja uszanowuje w nich siebie samych i nie uważa swoich młodszych braci za chwilowych najemników, — ale rozdzielaniem ról, wyborem przedstawionych sztuk widocznie ich upośledza. Dyrekcja uważa Szylera za Apeniny, gdzie tylko »rozbójnikom« przebywać można, a Szekspir to już dla niej ma szczyty Himalai. Nie próbując sił, nie wzrastają siły. Każdy talent jest jak magnes — potrzebuje ciężaru. Wiemy, że za pierwszą próbą Szekspir się wstrząśnie, lecz za trzecią stanie się uważnym, a za dziesiątą może uśmiechnie się poklaskując. Dyrekcja postępuje sobie z młodymi swymi uczniami jako ślimaczy filantropi z ludem przed zniesieniem pańszczyzny. »Niedojrzeli oni jeszcze do usamowolnienia, wołali ci antihumanitarzyści — są jeszcze ciemni, niewykształceni.« Dajcie im wolność, a wnet staną się jasni i kształtni! Północna Ameryka ma niespełna sto lat bytu; a już walczy o pierwszeństwo z starym Albionem. Kto chce latać musi mieć skrzydła.

Trzecim zarzutem dla dyrekcji jest nie dość staranne dozorowanie obowiązków reżysera i inspicjenta teatralnego, których niekiedy objawiająca się niedbałość, mogłaby nam dać słuszne pozory posądzenia szanowną dyrekcję o lekceważenie publiczności. My sami w ciągu ostatnich dni byliśmy świadkami następujących wypadków, chociaż mieszkamy na wsi i ledwie raz na tydzień odwiedzamy scenę polską. W dramacie p. t. *Ubodzy Paryża* zjawia się w pierwszym akcie młody marynarz, co konając, posiada naturalnie *czarne* włosy. W następującym akcie portret tego marynarza w osieroconym jego domu nie małą odgrywa rolę. Dzieci rozczulają się nad jego podobieństwem do zmarłego ojca; później wchodzi *Planterose* i poznawszy w nim ofiarę swego oszustwa, woła z przerażeniem: »To on!... Oże to nie on — bo portret przedstawia jakiegoś tambour-majora z *siwemi* włosami. Wprawdzie może kto powiedzieć, że marynarz mógł pierwotnie służyć w wojsku i że raz przez oryginalność kazał sobie upudrować włosy i tak usiadł przed malarzem, albo że przysłał dzieciom portret z tamtego świata, gdzie ze zmartwienia mocno posiwiał. Wykręty takie byłyby za nadto subtelnemi. Cierpliwa nasza publiczność nie miała widać czasu wynaleźć ich, bo zażenowaną była widocznie tą olbrzymią śmiesznością, psującą efekt ca-

łego prawie aktu. W *Rataplanie* znowu, stary sierżant nie oglądnąwszy się, mówi: »Przedstawiam wam koledzy, moją żonę«... i zgłupiał, bo o kolegach ani słychu jeszcze. Dopiero w minutę przywędrowali na scenę — po capstrzyku. Dziwna także swoboda panuje od niejakiego czasu na naszej scenie; prawie przy każdem z ostatnich przedstawień ktoś kogo szukał, ktoś kogo wołał, ktoś na kogoś czekał. Podobne uchybienia wywołałyby gdzie indziej w publiczności głośne skarcenie — bo publiczność jako gromada jest wielkim panem, i należy jej się grzeczność i uszanowanie. Cóż kiedy nasza publiczność sama uczy niegrzeczności — będąc zawsze zanadto grzeczną. Te usterki tem więcej nas zadziwić mogą, iż dawniej nigdyśmy ich prawie nie dostrzegali; przeciwnie w niektórych sztukach, jak n. p. *Fałszywi poczciwcy*, byliśmy dosłownie oczarowani niesłychanym ładem, gładkością i precyzją, z jakiemi prześlizgiwał się przed nami akt za aktem.

Zdawałoby się także nieraz, jakoby dyrekcja była tego przekonania, iż publiczność uczęszcza do teatru, aby jej jedynie okazać swoje względy.—Tak nie jest. Publiczność wie dobrze, czem jest dla niej scena narodowa; dla wyższego celu odwiedza ona ją od roku tak gorliwie.

Dyrekcja ma znaczne dochody, powinna więc być

równie wspaniałomyślną i hojną, jak jest publiczność dla niej. Wiadomo nam, że dyrekcja wyłożyła w tym roku siedm tysięcy reńskich na garderobę i kulisy; nie jestto mało, ale nie zanadto. Od wielu budynków kulisowych dawno już tynk pooblatywał — należałoby nająć mularza. Równie w dekorowaniu bogatszych salonów, a tem bardziej sal królewskich, większą baczność zwrócić należałoby na znajdujące się w nich sprzęty. Z podobnym menażem i pojedynczością nie ubierał swoich salonów nawet Ludwik Filip, król episjerów. Nieraz znajdują się na scenie naszej sprzęty tak zabrudzone, tak odtrącające od siebie każdą porządniejszą suknię, że staje się prawie arogancją ze strony gospodarza »prosić gości siedzieć.« Zresztą w salach królewskich ujdą one, bo tam wszyscy stoją.

W bieżącym roku mamy prawo spodziewać się znaczniejszych wkładów. Według stawu grobla — a dużo jeszcze w niej szczerbów. — W ciągu pisania niniejszego artykułu dowiedzieliśmy się z wielkiem nieukontentowaniem, iż p. Wilkoszewski i p. Targowska opuścili już naszą scenę i odjechali, że panna Safir już odeszła, że nawet p. Majeranowska, o której konieczne zatrzymanie w imieniu publiczności prosiliśmy szanowną dyrekcję — po raz ostatni w tych dniach występuje i także odjeżdża. Nie pojmujemy

jak dyrekcja mogła na to zezwolić. Ogromna to luka w scenie naszej, nie łatwo jej się pozbyć, chyba załatać będzie ją można.

Ośmielamy się zrobić uwagę szanownej dyrekcji, że zbytnia rachunkowość często większe od rozrzutności pociąga za sobą straty; że wszelkiemi siłami powinna się starać nie rozrywać artystów raz przez dłuższy czas z sobą związanych; że tym sposobem tworzą oni z czasem prześliczną rodzinną całość, uczą się uważać scenę za dom własny, nie za karczmę przejezdną. Szanowna dyrekcja wie to najlepiej, bo sama należała do niedawna do takiej pysznej scenicznej rodziny, która po największej części tylko tym braterskim węzłem zdobyła sobie najznakomitsze miejsce w dziejach teatru polskiego. Artystów zaś prosimy, aby mieli wzgląd na słabość naszej sceny, która jak każda instytucja w zawiązku musi być taką; aby nie przesadzali swoich wymagań. Wszyscy ubodzy jesteśmy, ach! wszyscy—wspierajmy i ratujmy się wspólnie jak możemy. Kto porzuca ubogi stół rodzinny dla proszonego lepszego obiadu — to dezerter. Dyrekcja powinna więc raz jeszcze nie tylko starać się utrzymać wszystkich członków sceny, ale nawet zbogacić ją nowemi. Niekoniecznie żądamy, aby angażowano ukończonych już artystów, którzy mogą mieć prawo do sowitszego wynagrodzenia — niech

dyrekcja przyjmie jeszcze kilku z garnącej się do artystycznego zawodu młodzieży, a będziemy zadowolnieni. Dyrekcja przekonała się już dostatecznie, z jakiem pobłażaniem i cierpliwością publiczność umie czekać na wszystkie nadzieje. Niestety, *czekać* stało się oddawna naszą koniecznością i hasłem.

Wiemy, że nie od razu Kraków zbudowano. Łatwiej zniszczyć, niż zniszczone odbudować. Uwzględniamy wszystkie trudności, z jakiemi dyrekcja w ciągu pierwszego roku po otwarciu sceny walczyć musiała. Naszemi więc radami i przestrogami nie chcieliśmy dyrekcji ani obrażać, ani karcić — chcieliśmy jedynie zastrzedz sobie przyszłość. Prosimy, aby nas tak rozumiano.

IV.

Pozostaje nam jeszcze powiedzieć słów kilka o publiczności. Mówiąc o scenie, niepodobna jej ominąć. Publiczność dopiero uzupełnia scenę — wspierają się one nawzajem i równy wpływ wywierają na siebie. Z tego względu czujemy obowiązek pociągnąć także i publiczność przed kratki.

Jest rzeczą niezawodną, że sztuki i literatura są prawie zawsze objawem ducha narodowego, a nawet ledwie nie wszystkie grzechy i cnoty prywatne odnosić się dadzą do usposobień ogółu. Rzadkie tylko genjusze stoją samodzielnie i psują albo podnoszą naród.

Publiczna nasza opinja jest niewolnicza, obojętna i mało wykształcona. Dopiero kiedy jej coś zaleje za skórę dużo, dużo sadła, kiedy jak mówi student rozciągniony na ławce, *wytrzymać* już nie może — wtedy opinja zrywa się nagle, siada na koń, pakuje

weń obiedwie ostrogi, wygrywa kilka bitew, zadziwi wszystkich swoim rozumem i zapałem, i — wraca do domu, i znowu jest niewolniczą, obojętną i mało wykształconą. Oddamy i przyznamy każdemu, co się komu należy. Opinja mocno trzymała się na siodle podczas kiedy wytrwale obrzucała potępieniem dyrekcję p. Chełchowskiego; opinja pięknie galopowała przez kilka miesięcy po utworzeniu nowej sceny; teraz opinja zlazła już ze swego bachmata, koń poszedł do stajni, a ona chodzi pieszo do teatru, *chodzi tylko* — nic więcej. Nasz naród nie lubi piechoty. »Pal mu w łeb i do piechoty« — mówili dawni nasi ułani, chcąc skarcić którego ze swoich kolegów.

Staraniem naszem będzie dosadnie udowodnić uczynione zarzuty opinji publicznej.

A najprzód, opinja jest niewolniczą, jest lękliwą, nie posiada najmniejszej odwagi cywilnej. Podczas nieporządku, który panuje czasem na naszej scenie, a który jest widocznem uchybieniem dla publiczności, albo przy niektórych za śliskich dowcipach opinja »kryje w dłoniach rumieńce« i milczy. Niech każdy wstydzi się za siebie. Nie wzywamy przez to publiczności do podobnego nieładu. Jest ona nietylko widzem, ale oraz i sędzią. Zachowując całą powagę sędziowską, może i powinna lekkiem syknięciem albo

cichem a krótkiem mruknieniem okazać swoje niezadowolenie, wezwać scenę »do porządku.«

Powtóre opinja jest obojętną i mało wykształconą. Dwie te wady połączamy razem, i z tej przyczyny rozszerzyć się nad niemi przymuszeni będziemy.

Pan Renc ze swojem towarzystwem jest nader ważną figurą dla dzisiejszego świata. Jest on rozumomierzem, uczuciomierzem (bawimy się w purystę językowego) każdej publiczności. U nas wywoływał on niesłychany entuzjazm. Cyrk był zawsze przepełniony i o mało nie zapadał się od grzmotu oklasków; nadwerężono go niemi jednak tak, że musiano go wkrótce rozebrać. Łamane sztuki rencowskie są w mniemaniu całej niemal Europy najwyższą doskonałością, do jakiej *sztuki piękne* podnieść się mogą. W kąt Szekspir i Rafael, Szopen i Kanowa — Niech żyje panna Renc i pan Loisset! Toż nie dziw, że duch rencowski wchodzi już nawet we smyczki niektórych głośnych artystów, że przedziwny styl afiszów p. Renca, zapowiadających za każdą razą nową erę świata, wkrada się już w tytuły niektórych utworów artystycznych.*)

Opinja, uczęszczająca do teatru, dzieli się na dwie

---

*) Patrz mazury p. t. Jan Sobieski, Stefan Batory i t. d. Szopen największy muzyk świata, jakże pojedynczo tytułował nieśmiertelne swoje dzieła!

części: na tę co w rękawiczkach i bez rękawiczek. Dziwić się więc nie należy, jeśli część bezrękawiczkowa chutniej okazuje artystom swoje względy: nie naraża się na żadną stratę. My zaś przyznajemy się, że w teatrze bardzo często drzemy rękawiczki, pomimo przestrogi najukochańszej, najdroższej nam osoby, z którą ile razy jesteśmy w loży, zawsze nas wstrzymuje od oklasków, słowem: To nie wypada!

Wszystko wypada, jeśli wypada z serca; »wszystko ujść może w kompanji grzecznej.« Część opinji w rękawiczkach boi się ubliżyć *dobremu tonowi*, gdyby okazała, że czuć umie dobro i piękność artystyczną. Do teraźniejszego dobrego tonu należy być zimnym, nieporuszonym, milczącym jak anglik, a jak sybaryta miękkim i zużytym. Zaiste szczególny to ton, co nie wydaje z siebie żadnego tonu. Wolimy hałas często nieprzyzwoity galerji i parteru, wolimy ich śmiech głośny, ich bezcelowe kaprysy i upory, niż tę głazową obojętność wykształceńszej części naszej publiczności. Tam przynajmniej objawia się młodość, życie, energja — tu nic się nie objawia. I z tej to jedynie przyczyny demokracja zmuszoną była szukać swoich żywiołów w tak zwanym dole społeczeństwa.

Wykształceńsza część publiczności powinna mieć obowiązek kierowania opinją wszystkich widzów tea-

tralnych. Zgromadziwszy się w jednym celu, do jednej sali, zawiązuje ona tem samem z innymi towarzyską solidarność. Nic naturalniejszego nad pragnienie czy to dyrekcji, czy to artystów, aby ich oklaskiwano. Jeśli więc oklaski idą jedynie od lampjonu, dyrekcja i artyści czują się niejako zmuszeni schlebiać temu miejscu. Zaręczamy najmocniej, że gdyby opinja klasy oświeceńszej nie lękała się objawiać, nie widzielibyśmy ani sztuk nieprzyzwoitych, ani gry przesadnej.

Wzywamy więc szanowną publiczność do zapału, do większej czułości dla wszystkiego, co piękne i narodowe. Ojcowie nasi żyjąc zapałem, utworzyli ze swoich dziejów jeden homeryczny, przepyszny poemat — a kiedy zaczęli ziewać, odpoczywać, »popuszczać pasa,« stracili byt, kraj zgubili. Bądźmyż więc jak Sobieski, kiedy szedł na odsiecz Wiedniowi: Wstąpił wprzód do Częstochowy, u ołtarza Przenajświętszej Panny pomodlił się i złożył rdzawą pochwę, i poszedł z gołą szablą! Modlitwa, odrzucenie grzechów i zapał — oto trzy schody do każdego nieba.

Przy końcu musimy jeszcze wytłómaczyć się, dla czego więcej mieliśmy łagodności w piórze, mówiąc o artystach, niż kiedy nam przyszło sądzić dyrekcję i publiczność. Szanujemy każdą osobowość, każde imie własne jest dla nas świętem, bo je odziedzi-

czają późniejsze pokolenia, nieodpowiedzialne za grzechy przodków. Zresztą jako krytyk boimy się, żeby nas nie posądzono o osobistość, gdybyśmy obrazili jaką osobowość. Śmielsi zaś jesteśmy i ostrzejsi, ile razy mówimy o imionach zbiorowych, o korporacjach, o narodzie. Wówczas nikogo pojedyńczo nie obwiniamy — a kto się uraża, ten jawnie poczuwa się do grzechu. Równie surowszej wymagają krytyki ludzie, stojący na czele jakiej idei, gdyż reprezentują gromadę, i dla tego....

›Wielmożny panie — przerwał mi mój stary ekonom — część otawy jeszcze nie zwieziona, a fury żądają wyższej płacy; czy podnieść ją?‹

Zmuszeni wrócić do równie ważnych dla nas obowiązków, żegnamy naszych szanownych czytelników. Z zagniewanymi czy przyjaznymi dla nas, zobaczymy się znowu wkrótce.

Zubrza, 8. października, 1858 r.

LWÓW,
*w drukarni Zakładu
narod. im. Ossolińskich.*
1858.